

F. 7716/1b

## TRZY POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO.

---

Król Chłopków. Czasy Kaźmierza Wielkiego, tomów 4, str. 200, 210, 218, 193. Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie. — Pod Blachą. Powieść z końca XVIII wieku, tomów 3, str. 167, 176, w 8-ce, Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa r. 1881. — Szalona, (powieść tegoczesna) tomów 2, str. 155, 169.

Tak obfitem jest pióro niezmordowanego naszego powieściopisacza, że nie mogąc podążyć za szybko następującymi po sobie, by nie powiedzieć, spadającymi jedno na drugie utworami jego pióra, szczupła nasza kronika usiłuje skrócić sobie zadanie połączeniem w jednej notatce wrażeń z trzech dzieł powieściopisarskich różnego rodzaju. Kraszewski w ostatnich kilkunastu latach wypróbował już zdaje się wszystkie rodzaje powieści; rzeczy można, nie ma prądu w życiu naszego społeczeństwa, którego by nie odtworzył pędzlem powieściopisarskim, a choć wszędzie zostawił piętno swego talentu, dla czytelników a nawet krytyków, gubiących się w ogromie tej produkcji, rzeczą jest niełatwą, zdanie sobie sprawy, w czym go lepiej poznać można, gdzie on jest bardziej sobą i nie chcemy już powiedzieć — jaki jest właściwy jego rodzaj, gdyż to szczególnie byłoby trudnem, gdzie tyle jest przedmiotów do obserwacji i tyle względów do rozważenia. Ponieważ wyżej wymienione powieści, i rodzajem sztuki pisarskiej są odmienne i zupełnie różne przedstawiają chwile życia, zbliżenie więc ich do siebie w tej notatce kronikarskiej, będzie miało ten pożytek, że ułatwi zorientowanie się sprawozdawcy, choćby dla jego własnego użytku.

*Król Chłopków*, dzieło stanowiące seryą XIV niemałego już cyklu powieści historycznych Kraszewskiego, uważane być powinno ze stanowiska powziętego zadania popularyzowania całej naszej przeszłości, do którego spełnienia, nikt u nas nie jest kompetentniejszym. Zadanie to w znacznej części dydaktyczne; sztuka na niem cokolwiek ucierpieć musi: historykiem i poetą (a jest nim prawdziwy powieściopisarz) zarazem być trudno. Kraszewski jest poetą daleko więcej niż historykiem, choć prace jego historyczne nie są też bez pewnej wartości naukowej. Jeżeli w niniejszem dziele, jak i w poprzednich seryach, podporządkował niejako powieść historyi, jeżeli dla porządku i dokładności głównych szczegółów zgrupowanie ich w artystyczną całość cokolwiek poświęcił; tego, ze stanowiska wyżej wskazanego zadania, za grzech mu poczytać można nie wypada.

„Król Chłopków“ jest tedy nie tak powieścią historyczną w ścisłym znaczeniu tego słowa, jak szeregiem opowiadań połączonych jednością głównej postaci historycznej, nadającej ton całej chwili dziejowej. Po prologu, w którym opisuje śmierć Władysława Łokietka, wprowadzeni jesteśmy w ks. I p. t. *Margareta*, na dwór jego następcy, gdzie czytamy z rozmowy jego poufnych, o skandalicznej przygodzie królewicza Kaźmierza na dworze węgierskim. Kłątwa Amadeja, ojca znieważonej Klary, ciąży nad królewiczem i zapowiada, że na nim ród męzki królewskich Piastów wygaśnie. Pod tem zaklęciem smutnie odbywają się gody Kaźmierza z wdową Małgorzatą bawarską, córką Jana króla czeskiego, przerwane śmiercią narzeczonej. W wielkiem strapieniu po tej przygodzie, Kaźmierz za poradą mądrego powiernika ks. Suchegowilka, szuka pociechy godnej króla, pracą nad dobrem poddanych, jednak za powrotem do Krakowa nie zapomina „przybyć ukradkiem, nocą, wprost na Wawel pusty... do swej sierotki, której matkę obiecał.“

Skutki tego zwrotu w życiu Kaźmierza widzimy w ks. II p. t. *Wiaduch*, gdzie zaczyna sobie zarabiać na szydery — u tych, którzy go nadali, chwalebny u potomnych, tytuł „Króla chłopków.“ Następuje opis zjazdu Wiślickiego i szemrania szlachty. W ks. III (t. II) p. t. *Bodzanta*, czytamy opowiadanie różnych zdarzeń, które zdawały się chwilowo grozić niebezpiecznym zatargiem z Kościołem. Do szemrania szlachty przyłącza się część duchowieństwa, zgorszona nieprzykładnem życiem naczelnika państwa, osobiwie postępowaniem jego z drugą małżonką Adelaidą heską, do czego przyłożył się zatarg z kapitułą krakowską o dobra złockie. Zabicie ks. Marcina Baryczki przez Kochana Rawę, faworyta królewskiego, uniesionego żądzą przysłużenia się swemu panu, ściągnęło na króla klątwę biskupią, która jednak przy zupeł-



nej neutralności duchowieństwa innych dyecezyj pozostała bezskuteczną. Ten spór dworu z kapitułą krakowską ujawnia się przy najściu na Kraków biczowników, które opowiada ks. IV. Król ujmuje się za fanatykami, których biskup, jako ludzi zdrożnych i nieposłusznych Kościołowi, potępia. W przywódcy fanatyków, uwięzionym przez biskupa a przez dworzan królewskich uwolnionym, Kaźmierz poznaje zło-wieszczego Amadeja. W epizod ten dziejowy wpleciona jest historia Baśki Materterowej, córki Kuba Świnogłowy, widocznie jednej z licznych kochanek Kaźmierzowych, która, jak pokutująca Magdalena, przystała do biczowników.

Ks. V, (t. III) opowiada dzieje nieprawego małżeństwa Kaźmierza z Rokiczaną, którą wkrótce porzucił dla Esterki. Stosunek króla z tą sławną żydówką, ale zamaskowany małżeństwem z Joanną Głogowską, stanowi przedmiot ks. VI. Tu występuje starosta wielkopolski Maćko Borkowic, zuchwały spółzawodnik Kaźmierza o rękę Joanny a nawet i o panowanie w Wielkopolsce. Historia tego zuchwałego możnowładcy, który po wielu gwałtach i nadziejach, w końcu śmierci głodowej się doczekał, stanowi przedmiot ks. VII. Ks. VIII p. t. „Król chłopków“ opowiada pobieżnie zdarzenia ostatnich lat panowania Kaźmierza i skon jego.

Zdawałoby się, że te ustępy opowiadania „o królu chłopków“, ogarniają wszystko, cokolwiek godne uwagi w dziejach tego panowania, przynajmniej pod względem jego spraw wewnętrznych. Pomimo to jednak i pomimo, że niektóre obrazy odmalowane nader jaskrawo, np. biczownicy w Krakowie, schadзки ziemian u Maćka Borkowica, — całość obrazu ówczesnej społeczności, zostawia nie mało do życzenia. Widzimy tu i dwór i pospólstwo i szlachtę, mieszczan krakowskich i lud wiejski; czytamy i o prawodawstwie wiślickiem i założeniu akademii, o opiece nad włościanami i żydami i zagospodarowaniu kraju; ale z tego wszystkiego trudno nam przychodzi zdać sobie sprawę. Przypisujemy to formie opowiadania, rozproszeniu tylu szczegółów w opisach przedstawiających się jakby oddzielne całości, trudności zadania, ujęcia w jeden obraz licznego szeregu faktów zestawionych podług wątku historycznego. Powieść historyczna niemałej sztuki wymaga, ale o wiele trudniejszym, by nie powiedzieć niepodobnem, jest napisanie dobrej powieści w sposobie prawdziwej historii.

W obrazie Kaźmierza W., około którego skupia się, jak rzecz naturalna, cały tok rzeczy, rozróżnić się dają dwa główne rysy: w jednym znajdujemy przedstawcę moralnie już skażonego rycerstwa, którego cześć dla dam zmieniła się w dworacką galanterią a kunszt wojenny obrócony na zdobywanie i uwodzenie płci słabszej; dla którego to celu

wszystko poświęca; w drugim widzimy prawdziwego męża stanu, gospodarza i ojca narodu. Mąż dojrzały i przejęty ważnością swego powołania, nie może się rozstać z płochością obyczajów wieku młodego; lecz z wysoka i daleko patrzący sąd historii, wobec zasług dziejowych, mniej waży nieprzykładne życie domowe i miłostki wcale nie idylliczne. Przeciwnieństwa te zresztą, rozwiązłości w życiu prywatnem z mocą charakteru w sprawach publicznych, spotykamy nie u jednego tylko naszego króla Piasta. Pomiedzy wysokimi osobami, które upamiętniono nazwiskiem „wielkiego“, nie wielu co prawda spotykamy „świąt obliwych“. Lecz czy to przypisać układowi rzeczy, czy samemu rodzajowi powieściowemu, który z konieczności więcej się obraca w życiu prywatnem, niż właściwie dziejowem, ogólne wrażenie niniejszego opowiadania będzie chyba takie, że w niem „król don-żuan“ cokolwiek przyrównywa „Kazimierza Wielkiego“ a nawet „Króla chłopków.“ Przypomina nam humorystyczną charakterystykę rzuconą przez autora Myszeidy:

Kazimierz Wielki: a przecie kwaterką,

Łykał miód smaczny w Łobzowie z Esterką.

Zresztą uchybienie pod względem charakterystyki wielkiego króla, znajdujemy tylko w tym jego rysie, który kreśli opowiadanie sprawek Maćka Borkowica. Przebacza mu gwałty i rozboje, jawne zamiary buntu i zdrady, ale niepochochowanym jest w surowości na wiadomość o występnie targnieniu się na cześć królowej, jakolwiek tę jego winę powinnoby złagodzić nietylko bardzo ozięble zachowanie się względem Joanny Kazimierza, który stosunku z Esterką nie zerwał, ale dawniejsza znajomość Borkowica z księżniczką, która przed oświadczeniami królewskimi okazywała się dosyć przychylną dla starosty wielkopolskiego i to wtenczas, gdy były widoki wyniesienia go na udzielność. W całej tej sprawie, jak ją wystawia powieść o „królu chłopków“, człowiek zanadto może panuje nad naczelnikiem kraju i najwyższym sędzią.

*Pod Błachą* jest także powieścią historyczną; zawiera tło czasu i osoby historyczne, tylko sfera życia jest potoczna. Pan Stanisław Kostka z Burzymowa Burzymowski, b. szambelan Stanisława Augusta, stary poczwiwiec z rodzaju—, „jak go widzisz, tak go pisz“, wiezie swoją jedynaczkę z za kordonu austriackiego na karnawał do Warszawy, która choć mocno podupadła, straciwszy znaczenie stolicy dawnej Polski, nie przestała być stolicą zabaw i dobrego tonu towarzyskiego, pokrzepionego emigracją francuzką, mającą tu jedną z głównych stacyj.



Sylwia (Sylwestra) Burzymowska „piękna jak anioł i żwawa jak żywe srebro,” opanowała zupełnie dobrodusznego ojca swoim „szalonym sprytem.” Temperament jej potrzebował nowych wrażeń; znudzona spokojem życia wiejskiego, spragniona była wielkiego świata, na którym czuła, że ma się z czem pokazać. A świat ten, o którym coś zaledwie usłyszeć mogła, nie przerażał swoją nowością, nawykłej do tego, żeby wszystko jej ulegało. Miękkiego, ale troskliwego o los córki szambelana, na wstępie do pożądanego jej przybytku, powitały spotkania wróżące nie bardzo uspokajająco. Statecznych zasad obyczajowych, choć mającemu pewne wyobrażenie o świecie, nie bardzo budującą wydała się wiadomość, że śmietanka towarzystwa zbiera się w domu, gdzie honory sprawuje jakaś dama francuzka, której mąż grywa w teatrze amatorskim rolę mężów i kochanków — „gospodyni domu, który ma tylko gospodarza” — a jeszcze gospodarza, którego szlachcic zna widać cokolwiek z tej strony... księcia Józefa Poniatowskiego, walecznego w boju, ale co najmniej, równie dzielnego w zdobywaniu ofiar na ołtarz bogini, która powstała z piany morskiej. Opowiadania dwóch lewków warszawskich, którzy warami ponczu oblewali szczęśliwie załatwiony pojedynek, przejmowały mrowiem szlachcica wiejskiego, który się dowiadywał w jaką Sadowę i Gomorę zwiózł najdroższą jedynaczkę. Czego się jednak nie dowiedział, to było, że szambelan Pokutyński dawny znajomy z czasów sejmu 4-letniego, od którego rad był poinformować się o świecie stołecznym, należał do grona osób stanowiących główną agenturę świeżych emocyj dla szafującego niemi bez liczby gospodarza „pod Blachą.” Świeżo przywieziony ze wsi kwiatek, żwawa i miła szambelanówna, jakże to pożądaną łup dla czeredy wiecznie polujących, w głównej puszczy zepsutego rozpustą salonową świata! Kość została rzuconą — Burzymowski widzi, że popełnił kapitalne głupstwo przywożąc niedoświadczoną dziewczynę do teatru, na którym tyle zgorszenia; ale fatalność prowadzi go do odegrania roli bezsilnego świadka intrygi salonowej, która się zaczyna od podsuniętego bukietu z napisem — *Hommage a la belle inconnue*, a kończy, zwykłą koleją uwiedzenia i opuszczenia... biednej dziewczyny, zbyt próżnej, aby się oprzeć blaskowi najpierwszej gwiazdy wielkiego świata, a zbyt płochy, aby dojrzeć oddzielającej ją od niej przepaści. Ta bezwładność pocziwego, ale zbyt słabego umysłu i słabszej jeszcze woli ojca, przeczuwającego wiele, patrzącego się naokół a spostrzegającego dopiero w chwili, gdy ratunek musiał już być spóźnionym i nie mogącego przeżyć upadku córki, nadaje pewną tragiczność opowiadaniu, którego cały lustr wielkoświatowy zaledwie zasłania wstrętne tło skandalu. Zarzucić trudno, że dla skandalu było tu wdzięczne pole. Narzuca go



gwałtem samo tło czasu. Upadek ludzi mających przeszłość i nazwiska historyczne, a pośród zwalisk, z powodu których głosu sumienia zagłuszyć trudno, szukających odurzenia w bezmyślnych zabawach, jest pożałowania godnym, ale w układzie rzeczy ludzkich, naturalnym. Autor malujący społeczność tych czasów, nie mógł bez ujmy prawdzie i dziejom, przedstawiać tych ludzi jak bohaterów nieszczęśliwych.

„Pod Blachą“ jest dobrym, choć oczywiście — nie sprawiającym miłego wrażenia wizerunkiem osób i czasu. Lecz zdaje się nam, że malując te sfery społeczne sfrancuziałe i bardziej jeszcze pragnące wydać się francuzkami, autor jakby czasem pożyczył od francuzów ich efektownej malatury. Sylwia wdzierająca się jakby gwałtem do księcia *Pepi* i rzucająca się mu na szyję: to coś zanadto przypomina efektowne sceny nowoczesnej dramatyki francuzkiej. Nieszczęście zawiedzionej w pierwszym swoim uczuciu dziewicy, może ją złamać na całe życie; ale w nieszczęściu najlepiej pokazuje się godność. Czyż to uczucie dobrze wychowanej panny ma koniecznie objawiać się utratą wstydu? Tragiczności, z pewnością nie dodaje to, że jej powodem był pierwszy lew salonów warszawskich; c ile ten szal miłości był wywołany czem innem oprócz bardzo pospolitej próżności, obliczyć trudno. Nie żałujemy, że po tej katastrofie Sylwia nie utopiła się, nie zamknęła się w klasztorze; ale znękana, przyjęła rękę najuczciwszego i najdrzeczniejszego w tem gronie szalonych, Grabskiego. Ale gdyby Sylwia, choć ze złamanem sercem, powróciła do Burzymowa, nie wtrącając ojca do grobu i nie narażając się na upokarzającą odprawę księcia, to możeby na tem stracił cokolwiek romantyzm, możeby wcześniej wypadło zamknąć opowiadanie, lecz nie straciłyby na tem ani moralność, ani prawda, ani może nawet charakterystyka czasu.

Nie wiele też zyskał ów *Pepi*, że jego życie nieprzykładne ma tu służyć za maskę daleko sięgających planów politycznych. Wiemy, że to życie rozwiązałe nie zgładziło w nim szlachetnych popędów, że z łoża rozpusty potrafił się podnieść do trudów bojowych i w końcu, mógł powtórzyć pod Lipskiem wyrzeczenie Franciszka I pod Pawią; ale nic nie wiemy o zasługach dla kraju położonych w salonach „pod Blachą“, i dziwnem się nam wydaje, że ktoś otacza się fraucymerami i bałamuci młode dziewczyny... przez patryotyzm.

*Szalona.* Pomiędzy tą powieścią a poprzednio wymienioną, zachodzi pewna analogia. „Pod Blachą“ przedstawia społeczeństwo a przynajmniej jego wyżyny, które po upadku politycznym kraju, ścielą mu grób moralny, życiem bezmyślnem: „Szalona“ zaś, jakby w następstwie poprzedniego, chociaż w odległej od tamtej chwili, kresli wizeru-

nek wszczynającego się rozkładu społecznego pod wpływem obcych żywiołów.

Zonia (Zofia Reszkówna), panienka żywego umysłu, ale jako sierota wychowana bez matki, zawróciła sobie głowę otoczeniem osób zasad wątpliwych. W tem kółku kobiet rozpróżnionych i młodych postrzelenców marzących o nowym układzie społecznym, rej wodził niejaki Jewłaszewski, trochę egzaltowany a bardziej szarlatan, który zręcznem pozowaniem i frazeologią, wyrobił sobie stanowisko jakby mistrza akademii, w której cynizm upozorowany filantropią, za mądrość uchodził. W tem gronie młodzieńców odrzucających i reguły towarzyskie i traktującym powściągliwość jako hypokryzją, młoda osoba mogąca się podobać, może niekoniecznie znajdować koło siebie samych „spółbraci nauki i światła.“ Zonia zrazu odpycha nagabania swoich wielbicieli, mianowicie daje odprawę Jewłaszewskiemu, który zapragnąwszy dotykalszego zespolenia nad „zjednoczenie myśli i przekonań“, w sposób nieco obcesowy, chciał ją przekonać o potrzebie „zadośćuczynienia prawom natury.“ Z następnej wszakże rozmowy z gospodynią i z dalszego przebiegu rzeczy wnosić można, że jej „serce nic nie pragnie oprócz nauki i przez nią opanowania świata.“ Daje się przecież opanować i to potęgom niekoniecznie imponującym. Pierwszą est Zoryan Szeliga, syn rodziców zamożnych, ale zniewieściały, papinkowaty, sybaryta pospolitego rodzaju. Jakby na usprawiedliwienie z zarzutu, że w wyborze swoim powoduje się interesem, Zonia dawszy odprawę Zoryanowi (po przekonaniu się, że ma rywalkę), upatrzyła sobie jego antytezę, młodzieńca ubogiego ale silnego ciałem i duszą, obyczaju szorstkiego, przekonaniem sceptyka, nadewszystko cynika. Teofil Zagajło obcował tak poufałe, że panna znalazła się zmuszoną bronić od niego... rewolwerem. Przypadek ten jednak przyczynił się do jeszcze większego zbliżenia: Zonia została matką a kochanek odjechał, nie bez obietnicy powrotu, od której go wszakże śmierć uwolniła. Wiadomość o tem i śmierć dziecka sprawiły na nią takie wrażenie, że chciała się otruć.

Wkrótce jednak pocieszyła się i wróciła do swego towarzystwa: nie mogła się rozstać z powabami wolnego życia, choć zasady na których je oprzeć chciała, zachwiały się mocno, podkopane przez samych apostołów. Pierwszy z nich spotkawszy się przypadkiem ze swą żoną, którą był od siebie odpędził, gdy się dowiedział, że ona się znajduje w dobrym bycie, pogroźkami wymógłszy na niej znaczne wykupne, w lepszym bycie materialnym zerwał kompromitujące stosunki z chło-



pomanami i marzycielami: jego alter-ego Żyżycki złapawszy urzędnik zrobił się też człowiekiem statecznym, pani Heliodora Paromańska, gospodyni domu, gdzie odbywały się te schadzki, wyszła za mąż za radcę dworu itd.

Do liczby wielbicieli naszej emancypantki, choć nie z tej sfery, należał chorążyc Ewaryst Dorohub, w którego rodziców domu na wsi chowała się siostra Madzia. Dowiedziawszy się o emancypacji Zoni, oboje usiłowali ją nawrócić na drogę prawidłowego życia, ale na próżno. Lecz Zonia, która początkowo z wielką odrazą przyjmowała Ewarysta, rady jego przyjacielskie biorąc za nieproszone opiekuństwo, po doznanych zawodach, zaczęła wierzyć w jakiś fatalizm, który ją z nim „wiąże.“ Jej zalecania zawróciły głowę chorążycowi, który zawsze mając do niej słabość, niechcący zajął miejsce opuszczone przez Szeligów, Zagajłów itp. Tylko że z innym sposobem myślenia, brał je daleko poważniej, pragnął zamienić na związek dożgonny; ale polegając na osobie niezdolnej do trwałego przywiązania, bo uważającej obowiązek za niewolę, musiał nieodpowiednie doznać ciężkiego zawodu. Zerwawszy dla niej z rodziną, straciwszy osobisty majątek, zwichnąwszy swój los, doznał na koniec tego, że jego ukochana uprzykrzywszy go sobie, uciekła z jakimś francuzikiem i dostała się do Paryża, gdzie po przebyciu różnych kolei, została komunistką, pisuje gorące artykuły do dziennika republikańskiego i popija absynt... Ewaryst przebolewszy cios doznany, złamany na duchu, wraca do rodziny i żeni się z powolną, ale zupełnie bierną osobą, a Madzia, która go kocha w cichości, poświęca się na służenie jego domowi.

W powieści tej należy przedewszystkiem podnieść stronę społeczną. Mimo wypisanego godła:

*Il fare un libro e meno che niente*

*Se il libro fatto non rifala gente. (Giusti).*

(Napisać książkę jest mniej niż niczem, jeżeli ona nie podziała na ludzi); powieść ta nie jest właściwie tendencyjną. Gdyby obok odtworzenia pewnej chwili w życiu, autor chciał uwydatnić jej stosunek do społeczeństwa, musiałby wyprowadzić koleje losu niejednej tylko „szalonej“, najcharakterystyczniejszej zapewne w tej niezdrowej gromadzie, ale podług nas, najmniej może niebezpiecznej, bo jaskrawością swoją odstręczającej ogół, do uwiedzenia się fałszywym blaskiem skłonny, ale nie znoszący zbyt silnych promieni. Potrzeba pewnej



tęgości umysłu, siły niepowszedniej, aby oszaleć tak na dobre nie pospolitą bzikomanią. Taka Zonia nie wiele znajdzie naśladowczyń, a jeżeli będzie literatką, albo ochmistrzą jakich emancypantek, bawić będzie, nie uczyć, a przytem chyba już porażonych. Głowa otwarta, charakter samodzielny, wyjątkowo chyba zabląkać się może na szerokiej widowni społecznej: panowanie nad nim takich Jewłaszewskich może być tylko bardzo przemijające. Dla tych ponętniejszą zdobyczą są tacy Żyżyńscy, Szeligowie itp., bo taki motłoch zielonej inteligencji, tem łatwiej wyrzeka się indywidualnej samodzielności, im bardziej za nią goni. W szeregu tych zwiędłych młodzieniaszków, niejasno przedstawia się tylko Teofil Zagajło, podług opisu autora łączyć mający hart ducha z zawczasie chyba dojrzałym sceptycyzmem, gdyż taka oschła dojrzałość jest wytworem zbyt sztucznym, aby dojść mogła w zdrowym organizmie. Czuł to zapewne sam autor i dlatego chyba uprzątnął go zawczasu z widowni tego świata. W charakterystyce „ojca“ Jewłaszewskiego dają się także dostrzegać pewne usterki. Jak pogodzić z jego późniejszym przeniewierzeniem się swojemu kółku, to zdanie autora z jego charakterystyki: „Co przyznać mu trzeba, mimo wszystkich jego wad i ułomności—był w dobrej wierze. Zdawało mu się, że to co czynił, istotnie wiodło do wielkiego celu i że on do tej roboty powołanym był i stworzonym. Przekonania jego były tak głębokie, iżby się był za nie cierpieć nie wahał.“ A jednak wyrzekł się ich zupełnie dobrowolnie, dla rubli swojej Eudoxyi Filipówny a nawet nie pożałował trudu, aby spełnić tę ofiarę!

Do uwydatnienia tej sfery dyszącej życiem gorączkowem, właściwie służy przeciwieństwo skromnego, spokojnego życia tej, z której pochodzi główna a właściwie jedna tylko ofiara naszej emancypantki, Ewaryst Dorohub, gdyż inni jej wielbiciele łatwo się po niej pocieszali. Jakkolwiek szczegółowo a przytem dodatnio jest on tu przedstawionym, czegoś brakuje do plastyki tej postaci. Jak na statecznego i utrwalo-nych uczciwych zasad człowieka, choć młodego, nie wydaje się dostatecznie usprawiedliwionem, że dał się tak opanować wdziękom cokolwiek już nie świeżym, a które dosyć się już zdradziły swoją stroną prozaiczną, bo nietylko słowem ale i czynem przekonywała go ciągle, że „dla tego, którego się uczepi, potrafi być tylko kamieniem,“ niebardzo szlachetnym ale kosztownym. Ewaryst Dorohub w „Szalonej“ bardzo przypomina Mieczysława Grabskiego „pod Blachą“ ale nie jest jego korzystnym portretem; podobnie jak Zonia jest niezmiernie upadłą Sylwią, której jeżeli szukać pierwowzoru w czasach „Króla Chłopków,“ to ją chyba do Baśki Materówniej pokutującej w *kommunie* Biczowników

przyporównałby wypadało. Najlepiej choć niepozornie, przedstawia się w tej sferze Madzia, która pozostaje sobą do końca i wcale nie mamy za złe autorowi, że podług logiki sentymentalnej, nie zbliżył jej z Ewarystem, że nie podał jej w podejrzenie, jakoby miała myśl zostać panią domu, który przytulił sierotę, że Ewarystowi, po zniknięciu jego gwiazdy nie kazał szukać pociechy przy skromniejszej, ale trwalszego światła. O rodzinie Doruhubów jedno nastrecza się spostrzeżenie, ubocznej treści, ale które wypowiedzieć sobie pozwalamy, ze względu na rzeczywistość z którą powieść się liczy, choć wcale nie powinna być fotografią. P. Chorażyna, dowiedziawszy się o długach syna, pogardliwie rzuca lichwiarzowi sześć tysięcy rubli, oddzieliwszy je ze zwitku zawierającego kilkadziesiąt... Są może, albo dziś chyba bardzo nieliczni pomiędzy naszymi ziemianami na Wołyniu, posiadający na zawołanie tak ładny grosik...

Ponieważ zestawiliśmy tu trzy zupełnie różne powieści Kraszewskiego, wypadłoby więc nam szukać temu usprawiedliwienia w wynajdywaniu ich podobieństw, których daliśmy już próbę. Do charakterystyki wszakże tak obfitego a tak głośnego pisarza, zamało tu materiału a dla szczegółowej każdego z tych trzech dzieł, trzebaby zbyt wiele wywodów. Gdyby nawet czytelnik zkądinąd znający Kraszewskiego o tych jego trzech dziełach tyle tylko miał wyobrażenia, ile z naszego streszczenia wynieść można, to przyznałby, że tu niebrak owych typowych naszego autora — mężczyzn zniewieściałych, niewiast nie bardzo obyczajnych, przy których migają słabe światelka cnót niezupełnie wypróbowanych i wznosi się na chwiejnym piedestale wielkość z godłem: *in magnis voluisse sat est*. Z wyboru wszakże takich postaci, autor przed nami tłómaczyć się nie potrzebuje; wolno nam go tylko obserwować, bo gdybyśmy go za to sądzić chcieli, trudniej byłoby nam wymotywować nasz wyrok, niż obwinionemu się tłómaczyć. Z pewnością nie na niekorzyść autora to świadczy, że nawet z jednostajnych swoich charakterów potrafi utworzyć taką różnorodność sytuacji.

W zakończeniu, wracamy się jeszcze do „Króla Chłopków“ a raczej do postawionej na czele jego przedmowy. Pod adresem p. Chodźkiewicza w Paryżu, rzuca autor maleńki kamyczek w kosz Zoilom, co lubo dotyczy szczególnie jego powieści historycznych, zaznaczyć w tem miejscu nam wypada, w części dla publiczności czytać mogącej sprawozdania o powieściach Kraszewskiego, w części dla nas samych, aby uprzedzić względem tego, co nam kiedykolwiek o dziełach tego pisarza po-



wiedziećby wypadało. Głos nasz jest zapewne zasłaby, lecz nie za siebie tu tylko mówimy—za innych, daleko lepszych od nas krytyków; zresztą wszystko co dotyczy szanownego autora, czytelnikom nie będzie obojętne. Otóż w liście tym czytamy co następuje:

„Nie łudziłem się... nigdy, bym w zupełności wymaganiom nader rozlicznym mógł odpowiedzieć. Czyniłem i czynię na co mnie staje, sądząc, że mi w rachunek i to zaliczonem będzie, że potrzeba było rodzaju ofiary i wyrzeczenia się, by taki ciężar dobrowolnie wziąć na ramiona, pod którego ciężarem upaść się musi.“

„Dla jednych jest tu zawiele, dla drugich za mało, dla nikogo prawie to, czego chciał i jak mieć życzył. Z rezygnacją przyjmuję najsprzeczniejsze sądy... Sama polemika choćby najdziwaczniejsza—bo z taką mi się spotkać zdarzało, która dowodziła, że krytyk nie przeczytał z uwagą tego o czem sądził—ma swe dla ogółu pożytki. Na wszystko odpowiadam: uczynicie więcej a nadewszystko lepiej—cieszyć się będę.

„Zarzutów jakie mi czyniono, poczynawszy od drobnostkowych szczegółów, które do mnie nie należały—aż do tendencji (?) pośpiechu itp., odpierać nie będę. Co do pośpiechu, dodam tylko, że często po trzy razy przepisuję a zawsze cztery razy odczytuję. Jest zresztą w słabości natury mojej, w jej właściwości to, że zwykle opracowywanie, dla innych pożyteczne—u mnie daremnem się staje lub nawet szkodliwem. Są tacy nieszczęściem, do których ja należę, którym niedano jest nie przerobić bez zepsucia. Nieubлагana jakaś, choć może fałszywa logika, zmusza co się narodziło ułomnem, ortopedycznym doświadczeniem nie poddawać, aby większego nie ściągnąć nań kalectwa.

„Wszystkie, prawie bez wyjątku krytyki, które mi do rąk wpadły, z nadzwyczajnem staraniem, wszelkie możliwe rozterki podnosiły; nie zdarzyło mi się czytać ani jednej, któraby jakąś stronę lepszą podniosła“ (?).

„Takie jest u nas pojęcie krytyki w ogóle i zadanie krytyka. Każdy z tych sędziów, chce tem swoją wyższość nad autorem pod skalpel wziętym okazać, że wszystkie plamy i plamki dostrzega nadzwyczaj bystro. Idzie mu o siebie, nie o rzecz, którą rozberra. Jest to tak do tykalnie widocznem, że często śmiech wywołuje... Słabość to ludzka.“

Przeczytawszy ten zarzut z zupełnie co do siebie spokojnem sumieniem, musimy powiedzieć, że jest nieco zasurowym względem ogółu naszych krytyków i niejako wet za wet autorowi przypomnieć,

że znakomici nasi pisarze jak Pol, Syrokomla a nawet J. Słowacki byli częstokroć nazbyt obraźliwymi. Zapewne nasza krytyka bardzo wiele zostawia do życzenia; ale jeżeli można jej zarzucić, że czasem nie zna tego *co sądzi*, to nie można powiedzieć, żeby nie miała względu na tego *kogo* zna. Daleko więcej uskarżać się na nią mogliby mierni lub mało znani pisarze, niż ten, którego popularność uprzedza zoilów o bezsilności ich pocisków. Najnieprzychylniejszy mu napozór z nowoczesnych krytyków, p. Chmielowski, w swoim „Zarysie literatury polskiej lat 16-tu“, uczynił mu tylko jeden zarzut, o który autor zaprawdę gniewać się nie powinien. Nie jestże to bowiem raczej pochwała autora, gdy mu zarzucają, że tak się zespolił z myślą, uczuciem a nawet wrażeniami swego narodu, że jakby wyrzekł się własnej idei?..

R. Buczyński.



F. 7716/16





F.7716/1a ; F.7716/1b